W kraju palm i słońca – 5

24 października 2022
Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

Parańczycy

Konstytucja Stanów Brazylii jest przetłumaczoną z małymi zmianami konstytucją Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; zapewnia ona obywatelom swobody wyznaniowe, szkolne, ekonomiczne i sądowe. Każdy stan rządzi się samodzielnie, a do wspólnych spraw państwowych są wybierani przez ogólne głosowanie senatorowie i delegaci.

Stan Parana posiada 240 000 kilometrów kwadratowych przestrzeni i 300 000 mieszkańców, w czym mieści się: Polaków około 45 000, Rusinów 15 000, Włochów 25 000, Niemców 18 000, innych narodowości 5000, razem około 108 000 cudzoziemców, a Parańczyków 192 000. Językiem państwowym jest portugalski, tu zwany brazylijskim, i cały rząd spoczywa w ręku tubylców.

Trudno zrozumieć i ocenić rolę ekonomiczną i cywilizacyjną naszych emigrantów bez wejrzenia na miejscu, w Paranie, w stosunki brazylijskie, będące tłem, na którym zarysowują się koloniści. Parana dopiero w roku 1853 została stanem samodzielnym, a poprzednio była częścią stanu San Paulo, miejsca wiekowej deportacji zbrodniarzy, włóczęgów i Żydów z Portugalii i Hiszpanii, którzy zmieszawszy się z Indianami, pierwotnymi mieszkańcami kraju, wytworzyli dzisiejszych Paulistów i Parańczyków.

W roku 1534, za panowania Jana III w Portugalii, upoważniono i zachęcono kapitanów kolonizacyjnych do używania niewolników, pierwotnie Indian, których w części musieli też dostarczać na rynek Lizbony; później, od roku 1636 – Murzynów afrykańskich, i ten stan trwał do r. 1888.

Niewola zarówno upadla niewolników, jak i panów, którzy, jak Brazylijczycy, przez ten czas odzwyczaili się od pracy osobistej, uważając ją za hańbiącą wolnego człowieka; nauczyli się żyć cudzym kosztem, zadowalać swe zachcianki choćby drogą krwi i życia niewolników, szukać z próżniactwa tylko rozkoszy i zadowolenia zmysłów, uważając siebie w stosunku do niewolników za coś wyjątkowego, uprzywilejowanego, nadzwyczajnego.

I taki naród, zmarniały praktykowaną niewolą, bez żadnej własnej cywilizacji i kultury, przyzwyczajony od wieków do samowolności, otrzymuje nagle w roku 1889 konstytucję idealną, a pierwszy użytek, jaki czyni ze swobody, jest to czyn niesprawiedliwej zemsty, wypędzenie inicjatora wolności niewolników, cesarza Piotra II.

Uogólnienia przemawiają wyjątkowo; czyny, ilustrując, przekonywają. Oto kilka dorywczych ilustracji:

W roku 1893, wbrew woli wyborców stanu Rio Grande do Sul, prezydent Republiki przeparł wybór swego faworyta, J. Castilhosa. Niezadowoleni, zebrawszy się w majątku Maragate, wystąpili zbrojnie przeciw centralnemu rządowi, wezwawszy na pomoc Paranę. Rządowcy, zwani od czapek kolorowych pikapauami, zwyciężyli maragatów w r. 1894. Jedni i drudzy przesadzają się w opisach popełnianych okrucieństw, straszniejszych aniżeli hajdamackie.

— Opowiadano mi jednak, że pikapauowie, mordując wziętych w bitwie, pili ich krew — mówię do gorącego zwolennika rządowców.

— Kłamstwo, bezczelne kłamstwo! — woła oburzony. — To robili tylko podli maragaci nad Yguassu.

— Oni twierdzą, że to wy pod miasteczkiem Lapą; mają świadków nawet…

— To wyjątek; pan przecież rozumie: człowiek nie odpowiada w

pasji, w uniesieniu… Ale u nich picie krwi było regułą.

Rozmowa na ten temat z maragatą kończy się podobnie, tylko, że „u nich” (pikapauów) było to regułą, a „u nas” (maragatów) wyjątkiem.

To wypijanie krwi zwyciężonego, aby jego odwaga ożywiła zwycięzcę, było zwyczajem ludów dzikich, ale jakże blisko są z nimi spokrewnieni dzisiejsi Brazylijczycy, pijąc ciepłą krew wroga!

Oba stronnictwa obchodziły się okrutnie z jeńcami, mało których żywili, a zwykła egzekucja polegała na zmuszeniu jeńca do wykopania grobu; stawiano go nad nim, podcinano żyły niżej kostki i żywego zasypywano ziemią. Tak pikapauowie, jak i maragaci, pokazują mogiły w ten sposób pomordowanych.

Może jednak pikapau ma rację, mówiąc o „uniesieniu, pasji”… Otóż już po wojnie domowej. Vincente Machado z generałem Quadros wchodzą jako zwycięzcy do bezbronnej Kurytyby i zaczyna się rząd pikapauów.

W mieście są bogaci i wpływowi ludzie, jak baron do Serro Azul, J. Fereira de Moura, M. Gaedes, J. Schleder, B. Mindonca, A. Correia, spokojni, dalecy od powstania, ale nie pochwalający surowości pikapauów.

Jednego wieczora aresztują ich, by wysłać jako zakładników istniejącego porządku do Rio de Janeiro. Wsadzają ich na kolej w Kurytybie z eskortą oficera, któremu generał Quadros wręcza list zapieczętowany z rozkazem otworzenia na 60. kilometrze.

Był to rozkaz pomordowania więźniów.

Oficer zdał całą sprawę sierżantowi, który zatrzymawszy pociąg na 65. kilometrze, zaczął wraz z żołnierzami wyrzucać więźniów w przepaść, a opierających się mordować, odcinając ręce, trzymające się kurczowo drzwiczek wagonu.

Hamownicy i dozorcy kolejowi opowiedzieli nazajutrz w

Kurytybie całą scenę zabójstwa na 65. kilometrze i tylko jedna pani do Serro Azul wykradła ciało zamordowanego męża i pochowała pod kaplicą na górze Alto San Gloria w Kurytybie.

Morderstwo zostało bez kary, mimo próśb i wpływów, bo rządy faktyczne sprawował p. V. Machado, najwpływowszy i najzaufańszy mąż stronnictwa pikapauów, i nikt nie mści się nawet prywatnie, bo w parze z okrucieństwem idzie tchórzostwo.

Już jeśli kto ma być odważny, to chyba uzbrojona od stóp do głowy policja i wojsko…

W r. 1898 przyjeżdża do Kurytyby Emilio Segneira de Araujo z Pernambuco, poszukiwany listami gończymi za liczne morderstwa, ale listy gończe idą z wolna, bo Emilio ma wpływowego wuja w Rio. Do kwietnia 1899 roku żyje Emilio w Kurytybie, jest na usługach pikapauów… ale „przypadkiem” zabija opierającą mu się kobietę, wkrótce ginie druga, a obrońcę morderca dźgnął nożem; jednak chodzi swobodnie. Obywatele zaczynają szemrać, więc pięćdziesięciu odważnych z policji i wojska śledzi śmiałka i daje ognia do stojącego w pobliżu katedry. Raniony ucieka konno do S. Jose de Pinhares i tu z piwnicy dobywają go, kują i odstawiają do Rio pod opiekę wpływowego wuja. Za kilka miesięcy oczekują jego powrotu…

Oficer kawalerii Jambo wchodzi na bal niemiecki i podniecony rani nożem dwudziestu jeden ludzi; aresztowany, zostaje skazany na 25 lat więzienia… ale rodzina należy do rządzących, wyrok uchyla się z powodów formalnych, ma nastąpić rewizja, a tymczasem Jambo spaceruje w towarzystwie strażnika, uczęszcza do kawiarń i śmieje się, podkręcając czarne wąsiki.

Siedzimy w kawiarni „High Life”, utrzymywanej przez Belgijczyka. Wchodzi wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna; wielki kapelusz filcowy przesłania oczy, spod narzuconej peleryny sterczy długi nóż i kolby pistoletów.

Żąda koniaku od pobladłego za ladą gospodarza, a że z wyciągniętego pugilaresu wylatują papiery, więc przybija je

nożem do lady. Gospodarz przy ruchu noża chwyta pełny syfon, cofa się, stając w pozycji obronnej… Wypił kilka kieliszków, schował nóż, wbity w ladę, zapłacił i wyszedł.

— Kto to?

— Osio Melo de Castro, syn doktora; jednego zabił, trzech pokaleczył…

— I chodzi wolny?

— Boją się go zaczepiać, a przy tym ojciec jego ma wpływy… Ale widzieliście, panowie?… Byłbym mu syfonem rozbił głowę!… — chwali się Belgijczyk.

Każdy mieszkaniec Parany dbały o swoją całość tylko uzbrojony wychodzi wieczorem z domu; rewolwer tuż przy zegarku, a powyżej, pod ramieniem wisi nóż.

W czasie wyborów, gdy nie wolno w ciągu ośmiu dni aresztować, rozstrzyga prawo pięści. Oto grupa wyborców, białych, czarniawych i czarnych, kłócą się, po chwili rozdzielają się na dwa stronnictwa. Lecą obelżywe słowa: „escrasado”, „ladrone”, „o diabo” „filho da puta”…

Błyskają noże… Murzyn wrzeszczy:

— Capoera! — jest to taniec z brzytwami, przytrzymywanymi w dłoni, jedna z najstraszniejszych broni.

Nadeszli inni i na razie skończyło się na pogróżkach… Bywa jednak gorzej i np. jednemu z moich znajomych wykłuto oko w podobnej bójce.

Co chwila obiegają wieści: zakłuto tylu a tylu; ten dostał kulą; tamtego pokrajano brzytwą…

Kogóż sądzą i karzą?

Słabszych, bo za silnym jest prawo.

Policji i wojska unika każdy, jest to bowiem zbieranina najgorszych szumowin brazylijskich. Skazanym za kradzież, rozbój, gwałt, kaleczenie zostawia się do wyboru: albo odsiedzenie kary, albo odsłużenie jej w policji lub wojsku… a gdy zabraknie skazanych, urządza się rodzaj polowania na młodszych i kto się nie wykaże stałym zajęciem, zostaje w szeregach.

Mniej więcej 80 procent jest Murzynów i Mulatów tak w policji, jak i w „naszym walecznym wojsku”.

O subordynacji w naszym rozumieniu nie mają pojęcia, chodzą ociężale, brudno, z karabinami zardzewiałymi. Na posterunku sypiają, ale idzie oddział z oficerem na czele… żołnierz, zginając się, przysłaniając ręką lewe ucho, wrzeszczy:

— As armas! (tzn. do broni).

Leniwo, przeciągając się, zbiera się straż, prezentują broń… skończyli.

Zmęczony posterunek idzie pokrzepić się wódką w pobliskim szyneczku, stawia w budce karabin, mówiąc do towarzysza:

— Guarda o meu carabine (przypilnuj mego karabina).

W koszarach trzymają papugi, małpy, z którymi się nie rozstają nawet w czasie służby. Z powodu złego prowadzenia się, nadużyć, tchórzostwa są w ogólnej pogardzie, a bywanie oficerów w domu uważane jest za rzecz nieprzyzwoitą i niewłaściwą.

A przekonania Brazylijczyków?

Zupełna obojętność pod względem religijnym, granicząca z ateizmem, zaledwie formy chrztu, ślubu, pogrzebu zachowują dla pozoru.

Ksiądz nie budzi szacunku, poważania.

Jechałem przez trzy dni z biskupem Kurytyby ks. Jose de Camargo Barros; na pokładzie statku witały się z nim znajome mu panie lekkim podaniem ręki, mężczyźni również, nikt nie wstał, chociaż on, stojąc, rozmawiał z nimi czas jakiś, a innych księży tylko tolerują, jednak bez przycinków lub złośliwych uwag.

Na próżno odczytywałem pilnie dzienniki, dopytywałem się bliższych i dalszych znajomych, rozmawiałem z główniejszymi osobistościami stronnictw – nikt, ale to bezwzględnie nikt nie umiał mi wskazać różnicy zasad i dążności pomiędzy pikapauami a maragatami.

Szło i idzie tylko o osoby, a mianowicie, czy zwycięży dr Vincente Machado, czy dr Pereiro. Mówiąc szczerze, istota stronnictw i całe wybory polegają na tym, czy u żłobu rządowego zostaną podtuczone pikapauy, czy dorwą się wygłodniali maragaci.

Lada zaburzenie uliczne, lada zmowa, nazywa się u nich una revoluçao, mówią o niej, komentują, rozprawiają, oczekują większej z radością, bo jak mi mówił jeden osiadły od dawna Portugalczyk: „Brazylijczycy przyjmują chętnie formy cywilizacji, są z nich nawet dumni, ale po pewnym czasie one ich męczą, nudzą, przykrzą się i wtedy robią… rewolucję, aby choć na chwilę zrzucić więzy form…”.

Brazylijczycy nie zajmują się handlem (nie liczę kilku nędznych sklepów), przemysłem, rzemiosłem, tylko albo piastują urzędy najrozmaitsze, dość dobrze płatne, albo też siedzą na swych wielkich, nieuprawnych posiadłościach.

Wszystko, co się nazywa interesem, pracą, przedsiębiorczością, postępem, jest w ręku Portugalczyków, Niemców, Francuzów lub Anglików.

W życiu towarzyskim naśladują bardzo licho szyk francuski: są grzeczni aż do znudzenia, do mdłości; uczynni, ale tylko w słowach; są szczerze lekkomyślni; nadzwyczaj próżni, chwalcy i

mówcy z zacięciem patosu w najgorszym gatunku, nie liczą się bowiem ze słowami. „Nie było i nie ma na świecie, w historii większego, lepszego, szlachetniejszego…” etc. etc., to znaczy po polsku w najlepszym razie: „dobry człowiek”.

A dzienniki są tylko echem ich umysłowości; oto próbka: „Dwa tylko ideały, dwa bogi, niezrównane, najdoskonalsze, wieczne, posiada cała ludzkość: to Tiradentes i Chrystus”…

A Jose da Silva Xavier, zwany Tiradentes, wszczął w roku 1792 w Minas Geraes zbrojny bunt przeciw Portugalii i zginął pod kołem… Iluż takich liczy… ludzkość, ale tylko w Brazylii są Chrystusami.

Wchodzimy do salonu bogatego Brazylijczyka. Trzy okna od ulicy otwarte, kinkiety i lampy jasno rozświetlają pokój, a przechodząca publiczność zagląda, robi często głośne uwagi. Pod ścianą na prawo od wejścia kanapa, po bokach dwa fotele, zajęte przez damy starsze. Od jednego i drugiego fotelu, w linii równoległej rząd krzeseł, na nich młodsze panie i panny. Stół przed kanapą pełen ciast, owoców; służąca roznosi czarną kawę.

W pokoju jadalnym, do którego nas proszą, sami panowie, panie już jadły; na stole, jak tu jest zwyczajem, ustawiono wszystkie potrawy od razu, służący zmienia tylko talerze.

Gdyby nie wstrętny zapach tłuszczu, nie dający się zabić ostrymi przyprawami, to może mogłaby smakować kuchnia brazylijska, ale zawsze i wszędzie czuje się ten tłuszcz, nawet w palmitach. Jadłem je, skuszony znakomitym opisem jednego z podróżników, który znalazł w nich „smak między grzybami, śledziami, szparagami, kwaszoną kapustą” – nic z tego: co najwyżej przypominają surowe głąbie kapusty.

Jemy, pijemy zupełnie bez dam; rozmowa, po wyczerpaniu możliwej i niemożliwej krytyki przeciwników politycznych, kuleje. Nagle wstaje jeden z gości i słowami w superlatywie wypowiada mowę na cześć gospodarza, inni jedzą, skończył…

nadpito szklanki… Potem wstaje drugi, trzeci i tak zabawialiśmy się od siódmej do dziewiątej wieczór; następnie kawa, panie się ubierają… To nazywa się bardzo przyjemny wieczór.

Gdy razem są panie i panowie, rozmowa toczy się na temat przewinień stronników politycznych, o zmianach w urzędach; często padnie dwuznacznik przyjęty wesoło i zabawy towarzyskie w rodzaju pierścionka, mruczka itd.

Kobiety, póki młode są i ładne, w ogóle bywają pilnowane, strzeżone, podejrzewane – czy słusznie, nie wiem, ale że nie grzeszą zbytnią pruderią, można poznać z żartów często zbyt swobodnych, i np. na pokładzie statku, a była to arystokracja z Rio Grande do Sul, chodziły w białych kaftanikach bardzo luźnych, w sukniach zbyt przylegających, bo bez spódnic, w pantoflach przydeptanych i obchodziły się bez żeńskiej obsługi.

– Czy stewardzi obsługują panie?

– Naturalnie… steward to prawie niewolnik.

Miłość bywa podobno u obojga bardzo gwałtowna i namiętna, ale owych serenad pod balkonami, mandolin, nie słyszałem ani widziałem. Jeden, jedyny raz śpiewał piosnkę zakochany młodzieniec pod oknem brunetki ładnej, z pięknymi, czarnymi oczyma i po czułych nazwach kończył:

Todo o dia eu non desejo
Nada. De noite so peço um beijo
E logo – pois non verao os pais
Um pouco mais

Zdaje się, że Brazylijczycy do rozróżniania siebie według nazwisk jeszcze nie doszli; zawsze mówią do siebie i o kimś po imieniu; nawet na poczcie spis listów nadeszłych formuje się tylko według imion chrzestnych. Pod względem imion i nazwisk są w wyborze dość wybredni i jak zawsze patetyczni; oto kilka

dla przykładu: Franklin Washington Botafogo, Rubens Aristides de Conceiçao (Poczęcie), Joan Cicero de Deus, Paulo Jesus de Assumpçao (Wniebowzięcie) itd.

Do tych Brazylijczyków, ledwie pokostowanych obcą cywilizacją, należy doliczyć na pół dzikich, barbarzyńskich mieszkańców lasów i stepów: caboclos, którzy nie zdołali jeszcze przyswoić sobie tych okruchów cywilizacyjnych, będących współudziałem ich braci z miast i wielkich majątków, tzw. fazendeiros, od słowa fazenda, majątek, własność ziemska.

Jest to społeczeństwo w chaosie, licho zorganizowane, bez indywidualności cywilizacyjnej, bez przemysłu, rolnictwa, handlu i prawdopodobnie przy swym wstręcie do pracy osobistej, przy ubóstwie dróg kształcenia (na całą Brazylię dwa gimnazja rządowe w Rio) może ulec w walce o byt z innymi narodami.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki
Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”, Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków
Źródło internetowe: WolneLektury.pl
Licencja: CC BY-SA 4.0